

Kresowe wspomnienia

1

Bohaterką mojej opowieści o Kresach Południowo- Wschodnich jest Maria Antonina Łaszczyńska. Miała być Antonina Maria, jednak ze względu na to, iż urodziła się 8 grudnia 1933, a ten dzień jest dniem Marii, to pozostało Maria Antonina. Dla przyjaciół Inka.

„Jednak może od początku. Czym są Kresy Południowo- Wschodnie ? A więc, niczym innym jak wąskim pasem ziem pogranicznych, zwanych „ukrainnymi” w południowo-wschodniej części II Rzeczypospolitej.

Opowieść o mojej historii rozpocznę od pobytu mojego ojca, Aleksandra Łaszczyńskiego w Charkowie. Tata trafił tam, ponieważ starał się o polskie obywatelstwo, aby móc wyjechać do Polski. Bez obywatelstwa do Polski jechać nie można było. Tam też urodziłam się 8 grudnia 1933. Rodzinne miasto ojca, Miropol, było pogrążone w głodzie i ubóstwie, co sprawiało przykrość nam wszystkim. W ciągu 5 lat pobytu w konsulacie polskim, cała nasza rodzina zbierała i suszyła chleb, aby potem móc robić paczki i je wysyłać do Miropola. Po wojnie jednak się okazało, że w ciągu tych 5 lat tylko dwie z nich dotarły w ręce rodziny i najbardziej potrzebującego czteroletniego Jacka, który był chrześniakiem ojca. Z głodu spuchł, więc było to jeszcze bardziej bolesniejsze. W 1935 roku przeprowadziliśmy się do wujka Dmochowskiego, który mieszkał w powiatowym mieście, Zdobunowie, na Wołyniu.

Ojciec ze względu na swoje wykształcenie muzyczne, dostał pracę jako organista w kościele w Horyńgradzie. Prowadził też chór z byłymi żołnierzami. Swoją drogą szło im bardzo dobrze, ponieważ występowali na różnego rodzaju uroczystościach. Do miasteczka oddalonego o 5 kilometrów od Zdobunowa do Osady Krechowieckiej¹, dojeżdżał rowerem. Pierwszym moim „własnym” mieszkaniem była stara plebania w Horyńgradzie. W całym miasteczku było 10 rodzin polskich, 50 rodzin żydowskich i sami Ukraińcy, jednak wszyscy żyli w zgodzie. Na święta przychodziliśmy do siebie, a przy takich zwykłych okazjach pomagaliśmy sobie.

W Horyńgradzie chodziłam do przedszkola prowadzonego przez Halinę Majerską, byłam w nim jedynym polskim dzieckiem. Moja rodzina miała bardzo dobre kontakty ze wszystkimi sąsiadami i mieszkańcami. Przyjaźniliśmy się szczególnie z rodziną Klimczuków, z ich dziećmi chodziłam do przedszkola, pamiętam ich imiona : Lesia i Lova.

Kiedy wybuchła wojna w 1939 r. miałam 5 lat. Dobrze zapamiętałam 1940 r., kiedy to, mówili, że będą wywozić na Sybir. Władze rosyjskie wyrzuciły nas z domu. Matka bardzo się opiekowała nami, notabene przed wojną zajmowała się tylko domem, w roli matki sprawowała się świetnie. Pamiętam uszyła mi długie, aż do samych kostek płaszcze z kurtki Ojca. W te najbardziej srogo zimy, kiedy trzeba było chodzić korytarzami śnieżnymi, aby się gdziekolwiek przedostać, ten płaszczy chronił moje małe ciało. Mój Ojciec nie mógł się pogodzić z faktem, że stracił fortepian, na którym grał i mnie uczył grać. Po utracie domu, moja rodzina zamieszkała u państwa Bronowickich w Osadzie Krechowieckiej. Wraz z nami mieszkał tam Leon Majewski,

¹ Osada Krechowiecka- osada założona przez polskich żołnierzy, którzy w 1920 r. w Wyprawie Kijowskiej z J. Piłsudskim walczyli z Rosjanami, za służbę dostali ziemię. Takich osad na wschodzie Polski było dużo. Ojciec w osadzie przygotowywał chór, który występował na uroczystościach państwowych i kościelnych śpiewając patriotyczne pieśni.

który był przyjacielem rodziny i zarazem urzędnikiem gminy Tuczyn. Mieszkało nas tam siedmioro w jednym pokoju.

Noc 10 lutego 1940 była, jest i będzie dla mnie, wtedy małej 6 letniej dziewczynki pamiętną nocą. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam co to jest rewizja i łapanka. Kiedy to spałam, usłyszałam przedziwne hałasy, jak to małe dziecko z ciekawości wyszło z łóżeczka i poszłam zobaczyć co się dzieje. Zobaczyłam wszystkich dorosłych po ścianą, z uniesionymi do góry rękami. Co wtedy sobie pomyślałam? Zabawa w chowanego? W ciuciubabkę? Wtedy dostrzegłam trzech mężczyzn z karabinami, którzy przeszukiwali mieszkanie. Po sprawdzeniu dokumentów zabrali całą rodzinę Bronowickich. Ojca też chcieli zabrać jednak po oświadczeniu, że ma polskie obywatelstwo pozwolono mu zostać. Na wywózkę kazali wziąć najpotrzebniejsze rzeczy. Jeden z żołnierzy okazał się mieć serce. Kiedy pozostali jego kompani wyszli, on powiedział, żeby zamiast obrazów brać kury do skrzyni. Pani Bronowicka tak też zrobiła. Po godzinie nieobecności żołnierze wrócili i powiedzieli, że wszystko teraz należy do kolchozu. Branie czegokolwiek jest zabronione. Jednak skrzynię, w której ukryte były kury i jedzenie pozwolili zabrać. Po tym incydencie moja rodzina znów została wyrzucona i musiała się dalej tulać w poszukiwaniu schronienia. Znaleźliśmy spokojne miejsce w Horyńgrodzie, u rodziny Jadowskich. Córka Pana Jadowskiego, która już nie żyła, przed wojną była moją nianią. Każdemu wydawać by się mogło, że to Niemcy, byli najgorsi, jednak nie. Najgorsi byli przyjaciele, z którymi się żyło w zgodzie i pozwalało na wspólne biesiadowanie przy stole. Mówię tu o Ukraińcach. To oni wraz z Niemcami wymordowali wszystkich Żydów, a potem ruszyli na Polaków. Banderowcy nie zabijali szybko i skutecznie tak jak Niemcy. Oni się znęcali nad nami, Polakami. Wydłubywali oczy, odrąbywali kończyny, łamali kości. Myśleliśmy, że gorzej być nie może, jednak 1943 był najgorszym z możliwych i zostanie zapamiętany przeze mnie do końca życia. Mój Ojciec widząc co się dzieje, starał się uciec z Horyńgrodu. Poszliśmy więc do Zdołbunowa, tam mieszkał mojego ojca wujek, Dmochowski Zdzisław, u którego się zatrzymaliśmy. Ojciec po upływie kilku tygodni postanowił wrócić, aby zabrać kilka rzeczy, uciekając nie zdążyliśmy nic z sobą zabrać. Jadowscy nie mieli gdzie iść, gdzie uciec, więc zostali w Horyńgrodzie. Tato wracając postanowił odwiedzić swojego starego przyjaciela, Klimczuka. Było późno, więc został tam na noc. Nagle słysząc jakieś głosy przerwali przygotowania do snu. Weszło kilku mężczyzn, a mojego Ojca gospodarz ukrył w sąsiednim pomieszczeniu. Był tam zakład stolarski. Jak to w zakładzie stolarskim bez trudu znalazł siekierkę i trzymając ją w napięciu czekał. Rozmowy się przeciągały, Ukraińcy siedzieli i mówili, że idą bić Polaków - „Idemo byty Polakiv”. Wyszli dobrze po północy, a Klimczuk, który był namawiany, aby też pójść na mordownie, został. Wraz z Ojcem poszli wzdłuż rzeki Horyń do głównej drogi i tam się rozstali. Dzięki dobrym kontaktom Ojca wiedzieliśmy co się dzieje z naszymi znajomymi. Pewnego razu przyszła wiadomość, że Państwo Jadowscy zostali zamordowani. Byli przygotowani na to co się stanie. Co noc spali w stodole, uzbrojeni w widły. Jak na Polaków przystało, nie poddali się bez walki. Kiedy przyszli po nich, Jadowski dźgnął jednego widłami. Napastnicy poszli po pomoc. Wtedy dzieci: Stefan i Stefka mieli czas, aby uciec przez specjalnie wykopaną dziurę i schować się w zbożu. Banderowcy wrócili do stodoły i okrutnie zamordowali Jadowskich. Następnego ranka dzieci zostały odnalezione i zabrane do Równego, gdzie ksiądz ogłaszał podczas mszy, iż są do oddania dzieci. Całe szczęście, że tak się stało, ponieważ banderowcy zabijali w sposób szczególnie okrutny małe dzieci. Łapali je za

nogi i uderzali o ścianę. Tak zginęło kilkuletnie dziecko sąsiadów Jadowskich, a rodzice-mażeństwo polski zostało w ukraiński bestialski sposób zamordowane. Trzeba przyznać, że ludzie się zgłaszali i brali nieznane dzieci. Dalszy los Stefana i Stefki jest mi nieznany. Wiadomo jest jednak, że jednym z oprawców tej zbrodni był Klimczuk. Ten sam, który wcześniej bronił mojego Ojca. Został on potem skazany, kiedy łapano banderowców. Jego żona dostała pomieszczenia zmysłów z tego powodu. Horyńgród był wolny od Polaków, wszyscy zostali wymordowani lub uciekli. W okolicznych miasteczkach, powiatach uciekinierów było coraz to więcej. Moi dziadkowie, Dmochowscy, odstąpili im nawet dwa pokoje.

W Zdobunowie zaczęłam chodzić do 3 i 4 klasy szkoły podstawowej. Była to szkoła, gdzie nauczyciele mówili, nauczali po polsku, lecz materiał edukacyjny obejmował wiedzę o Rosji Radzieckiej. Wcześniej, jako pierwszoklasistka chodziłam do szkoły ukraińskiej, gdzie porozumiewano się tylko i wyłącznie w języku ukraińskim i byłam jako jedna z nielicznej grupy dzieci polskich. W styczniu 1944 Niemcy zaczęli uciekać na dobre, a nastąpił powrót Sowietów. W mojej pamięci zapadnie strzelanina, podczas której schowałam się w piwnicy wraz z innymi mieszkańcami domu. Wtem zapadła cisza. Ta cisza trwała ok. 2 godziny. Sąsiadka poszła sprawdzić, co się dzieje, usłyszała wołanie: „Ratunku! Banderowcy”. Jednak to nie byli Ci zwyrodnialcy, to była Armia Radziecka, która tym razem okazała się być naszym wybawicielem. W kwietniu 1944 roku, kiedy Kresy były pod rządami Sowietów, wydano rozkaz poboru do wojska mężczyzn w wieku od 18 do 50 lat. Ojciec został szefem kancelarii w 3. Polowym Szpitalu Chorób Wewnętrznych I Armii LWP. Niemcy myśląc, że zdołają coś jeszcze wskórać przed porażką, wysadzili zbrojownię w Zdobunowie. Było to ostatnie bombardowanie, które przeprowadzili Niemcy. Dla mnie, bombardowanie i huk spadających bomb kojarzą się z najtragiczniejszym widokiem dzieciństwa. Pewnego razu, gdy wracałam ze szkoły z koleżanką, zauważyłam na rozstaju dróg konia. Był okropnie ranny, wnętrzności miał na zewnątrz, jego oczy patrzyły na mnie z rozdzierającym smutkiem. Byłam też świadkiem, prawdopodobnie jednej z ostatnich w tamtych rejonach egzekucji wykonanej przez Niemców na banderowcach. Przyjechał samochód, na pace stał banderowiec, któremu zawieszono sznur na szyję. Na targu, gdzie miała miejsce egzekucja było pełno ludzi. Nie zakryto mu twarzy, a wóz powoli jechał. Zbrodniarz wisiał tam przez tydzień. Nad szubienicą wisiała tabliczka, a na niej był napisany pseudonim banderowcy „Hanna” oraz liczba zabitych polaków i Niemców. Z tego co pamiętam to ok. 150 osób.

Po wstąpieniu Ojca do służby, zostaliśmy same, więc trzeba było jakoś zarabiać. Moja Babcia handlowała na targu. Po towar, najczęściej po sól jeździła do Brodów, oddalonych o jakieś 70 km. Potem sprzedawała ją na targu w Zdobunowie.

Zakończenie wojny będzie mi się kojarzyć z pociągami. W 1945 roku, aby móc wyjechać, trzeba było zapisać się na kartę ewakuacyjną i czekać. 8 maja 1945 roku wraz z matką i córką znajomych Gieni, która była zapisana jako moja kuzynka czekałyśmy na pociąg ewakuacyjny. W tym momencie zaczęła się strzelanina, trzeba było chować się, bo znów nie wiedzieliśmy co się dzieje. Jednak ten dzień okazał się być pamiętnym dniem w historii, to Rosjanie strzelali, wiwatując zakończenie wojny.

Wojna skończyła się 8 maja i tego dnia my również dostaliśmy pozwolenie na wyjazd. Jechaliśmy wagonami towarowymi. Mieliśmy krowę, która dawała mleko, więc mieliśmy co pić.

1

Mało co brakowało, abym by się nie rozdzieliła z mamą, ponieważ chcąc pomóc starszemu panu, który miał ranne nogi, zbierałam liście lecznicze na każdym postoju, gdy pociąg stawał na kolejnych stacjach, wyskakiwałam i szukałam babki. W pewnym momencie, gdy za daleko odeszłam od wagonów, pociąg ruszył. Ludzie podnieśli głos, a ja co tchu w piersiach biegłam za oddalającym się pociągiem. Maszynista zorientował się i zatrzymał się. Mimo takich sytuacji, wiedziałam, że to jest potrzebne i rozumiałam, że trzeba pomagać. Jest mi trochę przykro, bo tak naprawdę nie wiem co się potem stało z tym człowiekiem.

Jechałyśmy dwa tygodnie do Kutna. Pociąg zatrzymał się na tam dłuższy czas, stał na bocznicach. Na dworcu matka poszła po gorącą zupę, którą dostawaliśmy podczas postojów, a nas wysłała po wodę. Wtedy pijany rosyjski żołnierz zaczął strzelać do mnie i Gieni. Zostałyśmy uratowane przez oficera, który przybył nam na pomoc, dzięki interwencji mojej mamy.

Gienia przypomniała sobie, że ma wujka mieszkającego obok Kutna, więc postanowiłyśmy tam zostać. Pytając napotykaną osobę odnalazłyśmy wujka Gieni, pana Katarzyńskiego. Mieszkał 10 kilometrów od Kutna. Trafiliśmy do niego.

Ojciec był w Polanicy Zdroju na służbie w wojskowym szpitalu, dla niego wojna nie zakończyła się 8 maja, lecz w październiku, kiedy ostatni żołnierz wyszedł ze szpitala. Stwierdziłyśmy z mamą, że lepiej pojechać do Ojca, niż zostać u wujka. Niestety nie było bezpośredniego połączenia do Polanicy Zdroju, więc musiały pojechać najpierw do Łodzi, potem do Katowic, a z Katowic do Polanicy. Podróż była ciężka. W pociągu nie było miejsca, ludzie stali na złączeniach wagonów. Brud, tłok, hałas. Jednak było warto, aby spotkać tatę. Po zakończonej służbie Ojca, udaliśmy się do Kłodzka i tam już zostaliśmy."

- Tak zakończyła się historia dziewczynki urodzonej przed wojną na Kresach. Co się stało po wojnie i jak dalej potoczyło się jej życie?

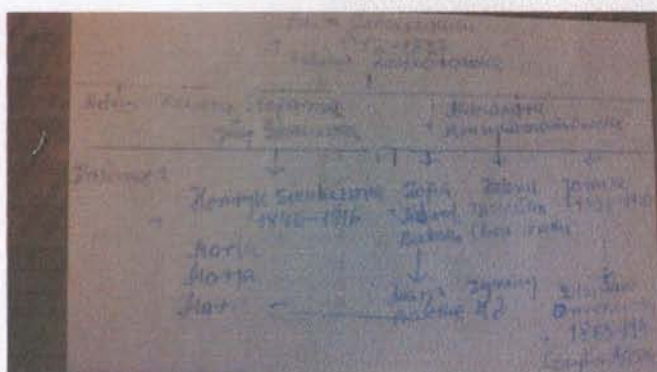
- Otóż w Kłodzku dokończyłam edukację w liceum ogólnokształcącym. W nowym świecie chciałam zapomnieć o bólu, który przeżyłam na Kresach, o wojnie. Dzięki swojej Pani geograf poszłam na studia geograficzne. Kiedy otwierali szkołę podstawową numer 8 w Jeleniej Górze, przeprowadziłam się i zostałam tam nauczycielką. Ojciec zmarł w 1985 roku na Dolnym Śląsku. Wyszłam szczęśliwie za mąż i mam dzieci, wnuki, a już prawnuki.

Pytana o to czy wiem, co się stało z pozostałymi członkami rodziny odpowiadam w sposób prosty – zginęli. Dziadek Łaszcz został wywieziony na Sybir. Wujkowie również podzielili jego los. Babcia zmarła w więzieniu w Żytomierzu. Reszta rodziny trafiła do Kazachstanu. Nie wiem, gdzie są groby rodzinne. W Polsce nie ma nikogo z rodziny. Nie wiem też czy dzieci z którymi się bawiłam w dzieciństwie, Lesia i Lowa żyją i co się z nimi stało, po tym jak ich matka zwariowała. W Zdobunowie raz jeszcze byłam tylko raz, w 1992 roku. Nie mam żalu do ludzi, którzy sprawili że moje dzieciństwo było takie, a nie inne. Chcę tylko, aby w końcu ktoś przyznał, że to było ludobójstwo. Moje serce nie należy do Kresów Wschodnich, jednak łza w oku się kręci, kiedy mówi się o takich przeżyciach. Odpowiadając na ostatnie pytanie, czy wydarzenia z tamtych lat, rzeczy które widziałam w jakiś sposób na mnie wpłynęły, odpowiem w bardzo wyraźnych, klarownych słowach „Żalu nie mam, nie wpłynęło to na mnie, jestem wdzięczna, doceniam to, że Kresy wychowały tak wielu wspańiałych ludzi”.

5

Czytając książki o Zdobunowie, które napisał Romuald Wernik, czuje się jakby to były moje własne wspomnienia. Cieszę się, że chociaż część tak wspaniałej historii jest gdzieś zapisana.

Opracowała: Sandra Śmigasiewicz



Załącznik 1: Drzewo genealogiczne



Załącznik 2: Dziadek Dmochowski



Załącznik 3: Kościół w Osadzie Krechowieckiej



Załącznik 4: Ja, Lesia i Lova



Załącznik 5: Rodzina Łaszców i rodzina Klimczuków



Załącznik 6: Grupa przedszkolan Haliny Majerskiej



Załącznik 7: Świadectwo ukończenia 3 klasy szkoły podstawowej



Załącznik 8: Małą Pani Maria